

Bogdan Zdrojewski



**PRZYSZŁAŚ,
CZERWONA
ZARAZO...**

Wrocław 2014 r

Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, czyli świdnicki bajzel ubowski

W Świdnicy przyjęcie mnie na ewidencję ośrodka represyjnego odbyło się sprawnie z zachowaniem pewnego umiaru, bez wytaczania ciężkich dział komunistycznego obskurantyzmu uwłaczającego godności ludzkiej, nierzadko spotykanej w tego rodzaju ośrodkach łamania charakterów zatrzymanych osób, których ówczesny Peerel w niczym nie mógł zachwyć. Zaopatrzone mnie – jak zwykle – w mocno wysłużony koc, prześcieradło i poduszkę oraz sprzęt użytkowo-gastronomiczny w postaci aluminiowej łyżki i litrowy emaliowany garnek z dwoma uszami (stanowiący ewenement w ekwipunku więziennym) zamiast aluminiowej miski oraz mocno sfatygowany ręcznik, zapewne i do otarcia ewentualnych łez. Nie zapomniano oczywiście o skrupulatnym spisaniu na odpowiednim formularzu personaliów osobowych aresztowanego oraz całego dobytku, który stanowił jego niekwestionowaną własność aż do czasu rozprawy sądowej, po czym przechodził – zgodnie z procedurą sądową – na własność skarbu państwa, który – aby oskubać osadzonego – nie gardził nawet rzeczami nie stanowiącymi większej wartości.

W dolnej części piwnicznych pomieszczeń świdnickiego grajdołka wyznaczono do mojej wyłącznej dyspozycji celę narożną w kształcie trójkąta, bez okna z czterema niewielkimi otworami w murze wychodzącymi na podwórko, skąd dobiegało do mnie szczekanie psiej sfory będącej na ubowskim etacie. Wyposażenie celi było nadzwyczaj skromne. Przydzielony mi „apartament” zawierał dwuosobowe łóżko betonowe pokryte deskami, na którym spoczywały dwa sienniki o małej zawartości sprasowanej słomy. Drewniany taboret z blaszaną miednicą średniej wielkości, przy której znajdował się kawałek szarego mydła oraz wiadro napełnione wodą, służącą do ugaszenia pragnienia jak i czynności higienicznych. Prawdziwe utrapienie stanowił przerdzewiały i mocno sfatygowany „kibel”, przeznaczony do wszelkich nieczystości, z którego fetor rozprzestrzeniał się po całej celi, podobnie jak z całego Peerelu. Dodatkowo nieprzyjemna woń płynęła z rur ściekowych z całego bloku przechodzących przez moje pomieszczenie. Brak dopływu świeżego powietrza powodował nie tylko okropny zaduch w celi, ale i niesamowity smród jaki byłem zmuszony wdychać, bowiem innej rady nie było. Zarówno noc jak i następny dzień minęły w nieznanym spokoju.

Rano – zwyczajowo – odebranie przy apelu porannym swojego ubrania ułożonego w kostkę na taborecie wyniesionym na wieczornym apelu na korytarz. Czarna ciecz,

przypominająca kawę i kostka zwana chlebem, stanowiły aresztańskie śniadanie. Jeśli rano zjadło się całą porcję owego chleba, wieczorem otrzymało się tylko tzw. kawę. Natomiast obiad składał się z jednej litrowej chochli zupy z baniaka przyniesionego z kuchni świdnickiego więzienia. Muszę tu przyznać, że obiady przywożone ze świdnickiego więzienia były nieporównywalnie lepszej jakości pod względem smakowym, jak i gęstości, czego nigdy w żadnym ośrodku komunistycznych represji nie spotkałem, łącznie z centralnym więziennictwem ówczesnie podległym zbrodnicy strukturalnej ubowskiej maszyny. Jestem mocno przekonany, że w żadnym wypadku nie wiązało się to z dobrą wolą personelu świdnickiego ubowskiego grajdołka, a było tylko dziełem więziennych kucharzy, którzy zapewne w ten sposób chcieli ulżyć doli osadzonych w piwnicach aresztu świdnickiego PUBP i zamianować solidarność społeczności więziennej, może i nawet kosztem współwięźniów osadzonych z wyroku sądowego w świdnickim więzieniu.

Po trzech dniach względnego odpoczynku wezwany zostałem do pokoju przesłuchań przed łagodnym obliczem kapitana „gwardii mojżeszowej” Złotkiewicza, który w sposób kulturalny usiłował zdobyć moje zaufanie, aby pozyskać cenne informacje dotyczące istnienia nielegalnej organizacji młodzieżowej działającej na terenie Świdnicy. Złożone przeze mnie zeznania nie mogły wprawić go w zachwyt, z czego doskonale zdawałem sobie sprawę, co musiało podziałać na pobudzenie jego żydowskiego temperamentu, przeradzając jego ukartowaną łagodność w czysto ubowski akcent, który – nie ukrywając – spodziewałem się usłyszeć w wersji świdnickiej powiatówki, choć nie w wykonaniu kilkunastu gwiazdkowego mojżeszowego błazna. A zatem nie obyło się na podkreśleniu swojej wyższości nad aresztowanym, godzącym swoim postępowaniem w elementarne podstawy sprawiedliwego ustroju ludowego państwa. Poddany więc zostałem obskurnej wersji niegodnych przytoczenia niecenzuralnych słów, które nie robiły na mnie już żadnego wrażenia uczuciowego, ale jemu sprawiły wyraźną ulgę łącznie z samozadowoleniem, z oblania kubłem nieczystości młodego człowieka, któremu nie po drodze było z moskiewskim pachółkiem izraelskiego pochodzenia. Obeszło się jednak tym razem bez stosowania brutalnej przemocy do której już także zdążyłem przywyknąć.

Scenariusz przesłuchań zazwyczaj zaczynał się od scenerii ordynarnych wyzwisk godzących w dobre imię człowieka, a kończyły się okrutnym maltretowaniem aresztowanego przy pomocy tzw. wydziału 3. działającego skutecznie najlepiej w doborowej grupie renomowanych oprychów, w której działaniu delikwent nie miał szans skutecznej obrony. Poddany „obróbce” zdziczałej grupy ubowskich siepaczy szybko tracił świadomość i stawał się bezwolną masą ludzkiego ciała, które dowolnie można była masakrować, z realną możliwością

śmiertelnego zatłuczenia i zakopania w jakiejś przypadkowej jamie, skazanego ku wiecznemu zapomnieniu, dla umartwienia rodziny i potomnych.

Przebywając bez mała około dwóch miesięcy w tej obskurnej, ciemnej i cuchnącej smrodem celi świdnickiego aresztu, ani razu nie byłem w łaźni, ani u fryzjera, nie było także papieru toaletowego do wiadomych celów, nawet partyjnej gazety „Trybuna Ludu”, która z powodzeniem mogłaby zastąpić papier toaletowy, z uwagi na jej wiadomą treść. Zatem cała ta higieniczna zabawa poranna w utrzymaniu koniecznej czystości swojego ciała odbywała się w niewielkiej blaszanej miednicy z udziałem niewielkiej kostki mydła, no i ograniczonej ilości wody.

Z braku grzebienia, który – prawem kaduka – pozostawał w depozycie aresztanckim, mozolnie odłupałem kawałeczek drewnianka z pryczy i powbijalem w ten kawałeczek kilka teksów szewskich wyjętych z niemałym trudem z mojego buta. Wykonany przeze mnie przyrząd stanowił namiastkę grzebienia, którym to rozczesywałem moją dość przydługą czuprynę, ostrymi gwoździemi niemiłosiernie raniąc sobie do krwi skórę głowy.

Jeszcze w pamięci mojej tkwiła niedawna „uczta” śledziowa zaaplikowana mi przez wrocławskich kabareciarzy, kiedy w kilka dni mojego pobytu w niezbyt przytulnym miejscu świdnickiego PUBP, jego zabawowa „wierchuszka” postanowiła uraczyć także i mnie śledziową potrawą, jak zwykle mocno przesoloną, mającą w ich zamiarze rozwiązywać języki opornym „bandytom” polskiego podziemia. Zastosowano tylko niezwykle uproszczony scenariusz, nie mając widocznie w swoim zespole zwyrodnialców utalentowanych aktorów.

Tuż przed podaniem kolacji, na którą w zasadzie składała się tylko sama kawa, tym razem podano słono przyprawione śledzie, przy czym – przezornie – nakazano wystawienie pojemników z nieczystościami, łącznie z wiadrem na wodę, co też w godzinach przedśniadaniowych i przedkolacyjnych rutynowo czyniono.

Początkowo w zamierzeniu moim najlepszym rozwiązaniem była odmowa udziału w tej imprezie śledziowej, niemile kojarzącej się z niedawnym wydarzeniem, ale przyszło mi na myśl, że jeśli oni aktorsko potraktowali swoją śledziową imprezę, to ja w rewanżu zabawię się też ich kosztem aktorskim zagranie. Wziąłem kawę do blaszanego kubka, a do uszatego garnka przyjąłem bez entuzjazmu dorodnego śledzia, przy czym grzecznie mnie zapytano, czy aby nie zechcę jeszcze jednego. Ponieważ zapytanie było w tonie nad wyraz uprzejmym, podstawiłem swój garnek pod oferowaną dokładkę. Gdy tylko zamknięto drzwi spróbowałem śledziowego przysmaku, był cholernie słony. Jednego schowałem na pryczy pod siennikiem, a jeśli chodzi o drugiego, udawałem, że przystąpiłem do jego konsumpcji. Widząc lekko uchylający się wizjer w moich drzwiach, zrozumiałem, że znajduję się pod ścisłą obserwacją

zainteresowanych, co znacznie podsycalo moją wyobraźnię, w prowadzonej obustronnie grze. Widząc, że czasowo nie jestem inwigilowany, drugiego śledzia umieściłem także pod siennikiem, biorąc do ręki resztę chleba pozostałego z rannej porcji. Po chwili uchylono ponownie drzwi, w których stanęło dwóch uboli z zapytaniem, czy zjadłem już podane mi śledzie. Odpowiedziałem, że tak. A czy chcesz jeszcze jednego? Odpowiedziałem twierdząco. A może zjesz jeszcze dwa? Wyraziłem zgodę. Zaopatrzone zostałem w dodatkowe śledzie, które w identyczny sposób powędrowały pod siennik, a ja dostałem się pod jeszcze intensywniejszą obserwację większej liczby zainteresowanych śledziową imprezą. Cały cyrk trwał około dwóch godzin.

Nic też dziwnego, że poszerzone grono z ogromną niecierpliwością oczekiwało spodziewanego efektu śledziowego spektaklu, po spożyciu przeze mnie pokaźnej ilości solidnie doprawionych śledzi. Tylko efektu widać nie było, co mogło wprawić ich w ogromne zakłopotanie. A zatem postanowili gremialnie wkroczyć do zajmowanej przeze mnie celi, z intrygującym ich pytaniem, czy chce mi się pić. Odpowiedziałem im zgodnie z prawdą, że nie. A czy chciałem jeszcze śledzi – odpowiedziałem twierdząco. To ich zupełnie zaskoczyło. Słuchajcie – zwrócił się jeden z nich do swoich kompanów – czy nie widzicie, że on was w ch... robi. I nagle poczęli się uważnie rozglądać po całym pomieszczeniu. Ktoś z nich uniósł siennik i ukazały się leżące pod nim śledzie. Na ten widok cała ekipa ekspercka jakby doznała historycznego wścieku. Obrzucono mnie solidną wiązką siarczystych przekleństw uwłaczających mojej osobie, ale na pewno mieszczących się w kodeksie etycznym ubeckiego bajzlu.

Śledząc uważnie ich ogromne wzburzenie wywołane zainicjowanym przeze mnie „spektaklem śledziowym”, wzbudziłem nieoczekiwanie ich niebywałą wściekłość, która mogła przerodzić się w niekorzystny dla mnie przebieg i wywołać w nich agresję, która mogłaby skończyć się dla mnie dotkliwym pobiciem, jak to się stało we wrocławskiej katowni. Na moje szczęście nic takiego nie nastąpiło. Przy ogromnym wrzasku i przekleństwach wyszli zdesperowani na korytarz zamykając za sobą drzwi celi. Zostałem wreszcie sam i z ulgą mogłem odsapnąć po opuszczeniu nieleżącego mi na sercu knajackiego towarzystwa, wsłuchując się jeszcze w dochodzące odgłosy z klatki schodowej okraszone siarczystym słownictwem, kierowanym oczywiście pod moim adresem.

Przed wieczornym apelem sprzęt wynoszony rutynowo do opróżnienia i uzupełnienia wodą wrócił na swoje miejsce, nie wzbudzając żadnych emocji. Wyniosłem swoje ubranie ułożone zgodnie z regułą w kostkę na taborecie na korytarz i położyłem się na swoim twardym łóżu madejowym i po krótkich emocjonalnych rozważaniach mojej akcji śledziowej

zapadłem w głęboki sen, mimo sączącej się nieprzyjemnej woni, do której zmuszony byłem już przywyknąć.

Świdnicki ośrodek komunistycznego łajdactwa okazał się – przynajmniej dla mnie – gniazdem represyjnym w powiatowym siedlisku ubowskich szakali, ale i w pewnym stopniu ostoją jakiegoś umiarkowania jeśli chodzi o wyjątkowo ohydne wybryki mafiosów wojewódzkich ekspozytur ludzkiej udręki, ochoczo wysługujących się zespołem zadeklarowanych łotrów i oprawców, dla których fizyczne maltretowanie żołnierzy polskiego państwa podziemnego stanowiło nie lada gratkę, połączoną z satysfakcją dołożenia pokoleniu niechętnemu peerelowi, za cenę wygodnego życia w areoli budowniczych nowego ładu politycznego, firmowanego przez moskiewskiego okupanta.

Język knajacki był na wiodącym miejscu podobnie jak w każdym bajzlu komunistycznego zaprzaństwa. Jednak gwoli prawdzie stwierdzić mi wypada, że podczas przebywania w świdnickim ośrodku bezprawia nie doznałem fizycznej przemocy. Być może skorzystałem z czasowego braku odpowiednio wyszkolonych kadr do zadań specjalnych, czyli tzw. fachowców od „mordobicia” lub może przyczynę stanowił nadmiar zdrowego rozsądku przesłuchujących mnie uboli, ratując niechybnie moją solidnie już „wypraną” skórę.

Nie znaczy to wcale, że nie było żadnych przymiarek, bo ręka śledczego często leciała w kierunku mojej twarzy, ale na szczęście dla mnie zatrzymywała się każdorazowo w odpowiednim miejscu. Oczywiście dodatkowe dolegliwości stosowane na co dzień były namolne i uciążliwe, tym bardziej że przesłuchujący dla swoistej zabawy pozwalał sobie na odpowiednie dyrygowanie aresztowanym wymyślając przeróżne sposoby na dokuczanie, posługując się oczywiście nieodzownym soczystym słownictwem, dla okraszy swoich poczynąń. Stawianie na baczność przy ścianie, robienie przysiadów, ciągle powtarzanie swojego życiorysu, nieprzyjemne i bolesne targanie za uszy, czy włosy, nie pozostawiając i nosa w spokoju, bezczelne popychanie stojącego przy ścianie itp. były na porządku dziennym.

Pewnego dnia w dość późnych godzinach wieczornych, leżąc już na swoim łóżu dotarł do moich uszu jakby znany mi głos przypominający Edwarda Rodzaja z jakąś osobą, dobiegający z końca krótkiego korytarza świdnickiego aresztu. Postanowiłem włączyć się do prowadzących rozmowę. Okazało się, że to rzeczywiście był Edward Rodzaj i Henryk Famulski. Obaj pochodzili z mojej grupy. Z wypowiedzi ich wynikało, że tylko oni zostali aresztowani i osadzeni w tutejszym areszcie. Zdażył powiadomić mnie o swoim przyznaniu się do nielegalnego uczestnictwa w organizacji antypaństwowej, gdy nagle usłyszeliśmy głośnie kroki schodzącego w dół ubowskiego strażnika, co uniemożliwiło nam dalsze prowadzenie

rozmowy. Po rutynowym przeglądzie strażnik wrócił na swoje miejsce, a my podjęliśmy ponownie rozmowę na interesujący nas temat.

W trakcie naszej rozmowy pojąłem, że sprawa nasza przybrała fatalny obrót, po prostu przyznanie się kolegów wpędziło nas w niezłą kabałę. Usiłowałem nakłonić ich, aby nie tylko nie poszerzali swoich zeznań, ale na najbliższym przesłuchaniu odwołali swoje wcześniej złożone zeznania, uzasadniając, że zostali przymuszeni przez przesłuchującego do podpisania takich zeznań. A faktycznie nasze spotkania odbywały się w formie kółka samokształceniowego, gdzie wspólnie uczyliśmy się przedmiotów ścisłych niezbędnych do zdania matury. Zapewnili mnie solennie, że po najbliższym przesłuchaniu zastosują się do mojego zalecenia.

Na drugi dzień, około południa przyszli po Edka, a po piętnastu minutach sprowadzili go do celi w ogólnym zgiełku i wyzwiskach. Następnym do obróbki śledczej był Henryk, który w identyczny sposób znalazł się ponownie w celi. Byłem przygotowany, że ten smutny pochód na górną część ubeckiego bałaganu zakończy ja. Co do tego najmniejszej wątpliwości nie miałem. Wiedziałem, że ostatnim w kolejce wytypowanym do „ubowskiego golenia” pozostaje tylko moja osoba, obciążona, bez wątpienia winą za całe zamieszanie, które ogromnie wzburzyło ścisłe grono śledcze świdnickiego grajdołka.

Oczywiście ze mną rozprawa trwała znacznie dłużej niż z Edkiem i Heńkiem, i to prowadzona w zupełnie innym stylu, isticie ubowskim, przeplatany obowiązkowo słownictwem pełnym przeróżnych wulgaryzmów, zapewne dla dodania sobie animuszu, a także podkreślenia wyższości świdnickiego urzędu skrótowo zwanego PUBP, wytrwale i wydatnie pracującego z pełnym partyjnym poświęceniem, ku chwale w uporczywym budowaniu ludowego państwa.

W trakcie przesłuchania wyraźnie dano mi do zrozumienia, że moje późnowieczorowe rozmowy z moimi kolegami osadzonymi w świdnickim areszcie, a w szczególności moje bezczelne nakłanianie ich do odwołania uprzednio złożonych zeznań, graniczyło z wyjątkowym chamstwem, powodując niepotrzebne zamieszanie w dobrze pojmowanym interesie prowadzonego skrupulatnie śledztwa.

Miałem pełną świadomość, że wywołany temat dobrze skończyć się nie może, szczególnie dla mnie, bowiem bezpośrednio ingeruje w układankę śledczą mozolnie przygotowaną przez zespół śledczy, wprowadzając ogromne zamieszanie, zniekształcające całkowicie ustaloną wersję wydarzeń uznaną już przez szacowne gremium świdnickiej bezpieki. Było to – oczywiście nie do przyjęcia.

A więc mogłem spodziewać się wyjątkowo represyjnego podejścia w odniesieniu do mojej osoby, czego już niejednokrotnie doznałem, z wyraźnym uszczerbkiem na moim

zdrowiu, podczas stosunkowo krótkiego pobytu w ubowskich kazamatach. Tymczasem świdnicki ośrodek zaprzaństwa komunistycznego okazał się zbyt łaskawy i tolerancyjny wobec świdniczanina żyjącego na bakier z siłowo wdrażanym systemem robotniczo-chłopskim, w niczym nie ulegając sowieckiemu dyktatowi. Zaniechano zatem używania fizycznej przemocy i ograniczono się tylko do retoryki słownej, opartej oczywiście na wyjątkowo wulgarnym słownictwie, w którym uwielbiał się taplać aparat śledczy, aż do często pojawiającej się chrypki niewyparzonych ubowskich gardzieli.

Skończyło się tylko na dużej zadymie i ogromnym zamieszaniu w świdnickich ubowskich strukturach śledczych. Spisane wcześniej zeznania nie straciły na ważności, a śledztwo toczyło się w dalszym ciągu po myśli pionu śledczego, zgodnie z ustalonym wcześniej harmonogramem ubowskiej maszyny. Ja natomiast, na skutek swoich niecznych czynów, wylądowałem w pomieszczeniu podpiwnicznym, poniżej jeszcze mojej celi na okres tygodnia, o chlebie i wodzie łącznie ze spaniem na tzw. twardym łożu. Przydzielony mi „apartament” składał się z jednego pomieszczenia o dość dużych rozmiarach, egipskich ciemnościach i betonowej posadzce.

Niewietrzone lokum pozbawione okna, zionęło zaduchem i stęchlizną, a także wilgocią swego wnętrza, tworząc nieprzyjemną woń, stwarzając wrażenie starej jamy skalnej. Wyposażony w betonowe łoże pokryte deskami, tzw. „kibel” na nieczystości i wiadro z wodą. Brak było siennika, koca, poduszki oraz miednicy, mydła i ręcznika. Przez okres siedmiu dni pozbawiony byłem czynności higienicznych. Ponadto karmiony byłem tylko raz dziennie 300 gram chleba. Wieczorem musiałem wyłożyć swoje ubranie na korytarz i zostawałem na całą noc tylko w bieliźnie. Chłód w piwnicy panował przejmujący, że o spaniu mowy nie było. Musiałem co chwilę uprawiać gimnastykę, aby się nieco rozgrzać.

Po tygodniu wróciłem do swojego pomieszczenia i rozpoczął się ponownie magiel śledczy według ubowskiej receptury.

Pewnego dnia do mojej „smutnej rezydencji” wprowadzono nowego lokatora na okres dwóch dni, po czym zniknął bez śladu. Od samego początku wydawał mi się mocno podejrzany. Swoim swawolnym i beztroskim uosobieniem stwarzał wrażenie osoby doskonale zorientowanej w warunkach panujących w dolnej, jak i górnej części świdnickiego „hotelu dla niepoprawnych”, co nieomal upewniało mnie w przekonaniu, iż musiał być jego częstym bywalcem. A było to dla mnie wyraźnym sygnałem, abym zbyt nie otwierał się przed nim, co też przezornie czyniłem mając na uwadze jego co najmniej niedwuznaczne zainteresowania moją osobą i prowadzonym dochodzeniem świdnickiego aparatu komunistycznych podłości. Jego banalne przewinienie nie kwalifikowało się do osadzenia go w tak

szacownej na ówczesne czasy instytucji. Takie sprawy pozostawały w gestii MO. Było to pierwsze sito do jakiego „mamra” należało wsadzić schwytanego delikwenta. Ponadto jego wyjątkowo swobodne zachowanie cechowało go jako osobę, która nic nie miała za paznokciami, bądź też był figurantem, któremu korona z głowy wcale spaść nie musiała.

Wyszło na to, że tylko jedną noc przespałem się z ubekiem na jednej pryczy. Ja jako aresztant ubowski, który w miarę się zachował, natomiast on jako ubowski pies, który nic nie wywęszył.

Sprowadzono specjalnie z wałbrzyskiego UB oficera śledczego do rozpracowania naszej grupy. Wałbrzyski cwaniaczek po kilkudniowych przesłuchaniach doszedł jednak do wniosku, że jego działalności śledczej lepiej będzie odpowiadał renomowany matecznik komunistycznych zbrodni, usytuowany w wojewódzkim mieście. Oczywiście jego plan został zatwierdzony przez władze nadrzędne i świdnicki bajzel pozbawiony został młodocianych „zaprzkańców”, którzy w zamyśle swoim zamierzali dokonać ustrojowej przemiany. A więc specjalnym transportem i przy specjalnej asyście znaleźliśmy się we Wrocławiu w wojewódzkim ośrodku wyjątkowego barbarzyństwa, który ja – jeszcze nie tak dawno – bez najmniejszego żalu opuściłem, również w doborowej asyście. Wiedziałem doskonale, czego mogłem się tam spodziewać. Moi koledzy zapewne nie. Najgorsze było przed nami.